

K o n k u r s P T T K
Polska Naszych Dni.

Opowieści z ZA
S e r i a I I

O p r a c o w a ł
W i t o ł d G r y ł
T a r n ó w 1979

Drogi Przyjaciołom i Kolegom
a zwłaszcza robotnikom
i mistrzom, którzy pokierowali
moimi pierwszymi krokami w ZA
- pracę tą poświęcam - autor-

1. Zamiast wstępu.

Pisząc drugą serię moich "Opowieści z ZA", pragnę zaznaczyć, że - chętnie im nadać bardziej osobisty charakter. Wróć do lat, kiedy stawiałem swoje pierwsze kroki w ZA, a raczej w PFZA, bo tak się wtedy nasze Zakłady nazywały, oraz z głęboką wdzięcznością wspomnę nazwiska moich preceptorów, głównie robotników, którzy wprowadzali mnie w niezłatwe arkana pracy na dużym i nowoczesnym zakładzie przemysłowym, wreszcie, a raczej na samym początku, jako tło tych wspomnień przytoczę, o ile pamięć dopisze, obsadę stanowisk w latach 1944 - 1945 i zaraz po 1945 roku, z okresu odbudowy, uruchomienia i dalszej rozbudowy fabryki. Podobnie jak w Pierwszej Serii Opowieści z ZA - pragnę pokazać Zakłady i ludzi, nie od strony piedestału ale życia codziennego i anegdoty opowiadanej z przymrożeniem oka. W tych dyktoryjkach, nie podaję nazwisk ich bohaterów tylko ich inicjały, ponieważ nie wiem, czy akterzy ich życzyliby sobie być, w ten niefrasobliwy sposób, uwiecznieni, sytuacje - tak, bo warto je uchronić od zapomnienia. Pisałem te karty także po to, aby zanotować, że Załoga ZA, to nie tylko geracy patrioci, nie tylko znakomici fachowcy, nie tylko solidarni i uczynni Kiedrzy - ba, Przyjaciele - to także ludzie, którym nie były obce śmiech i żarty i poczucie swoistego humoru...

2. Przywitanie z PFZA.

Kiedy jeszcze byłem smarkaczem, Matka moja często prowadziła mnie na Górę św. Marcina, aby podziwiać ruiny zamku i widok na Tarnów i okolice. W rejonie wsi Świerczkowa widać było zdaleka, czerwone a potem bielejące tynkami wielkie hale fabryczne - "Chorzów budują" pouczała mnie Matka, bo tak w Tarnowie potocznie wtedy mówiono o tej wielkiej budowie, było to zresztą o tyle słuszne, że w tych latach właśnie Chorzów, uruchomiony rękami polskiego robotnika, technika i inżyniera był synonimem polskiej chemii, a PFZA w Mościcach wywodziła się genetycznie z Chorzowa, była nawet później organizacyjnie z nim związana jako Zjednoczone Fabryki Związków Azotowych w Mościcach i Chorzowie. Za jakiś czas widać było, z Góry św. Marcina, żółty dymek i znów Matka mówiła mi, że są to gazy, których już nie da się przerebić. Minęło "parę" lat, szkoły, studia... i nagle znalazłem się przed Bramą nr 1 PFZA/ale, przedtym, jako

uczeń II gimnazjum im. Hetmana Jana Tarnowskiego, wziąłem udział w wycieczce szkolnej do PFZA. Fabryka wywarła na mnie i na moich kolegach niezatarte wrażenie. Wzerowy ład i porządek, nienaganna czystość, niewidoczna prawie a jednak sprawna i niezawodna obsługa, upał przy uleńiaczach^{ch} kłód/miejscami/na Ameniaku; nie zapomniano nawet o tym, żeby ugościć "studentów", jak się to wtedy nazywało, w poczekalni przy portierni - podano nam herbatę i bułki z kiełbasą/. Byłem jednak nowicjuszem, "krugem durak" i nawet nie umiałem "wybić" karty zegarowej, którą z trudem odszukałem w szafce przy zegarze, pomógł mi dopiero młody i uczynny robotnik Gębarewski. Zostałem wezwany przed oblicze kier. Oddziału Kwasu Azotowego inż. Witolda Hennela, który spejrzał na mnie badawczo i po ustaleniu personalii, poinformował mnie, że muszę odbyć wszechstronną praktykę, że wobec tego, kieruje mnie do grupy ślusarzy remontowych, z tym, że po opowiedzeniu się mistrzowi lub "przedownikowi" to jest jego zastępcy, mogę korzystać z biblioteki w Laboratorium Badawczym, oraz zobowiązał mnie, abym uczył się przedmiotów politechnicznych i zdawał egzaminy kontrolne u poszczególnych specjalistów. Z kolei zostałem odkomenderowany na halę sprężarek tlenowych, gdzie właśnie jeden z kompresorów był w remencie, aby zapoznać się z jego budową i czynnie pomagać ślusarzem remontowym. Zgłosiłem się do "aparatuowego", jakbyśmy to dzisiaj nazwali Sułkowskiego, który po wysłuchaniu z czym przyszedłem, dał mi kamień i zawór do szlifowania. Rzekł mi, na zakończenie rozmowy - siadź sobie w sieniu, na progu i szlifuj, jak doszlifujesz to się zgłoś po inną robotę. Ano siadłem i szlifuję, aż miło! Nie była to wcale ciężka robota, jak na pierwszy raz! Wszystkie byłoby dobrze, gdy wtym solidnie zawiąże amoniakiem z jakiejś nieszczelności; dla takiego "ciapciaka" jak ja - było to wielkie przeżycie, ale wytrwałem na posterunku i szlifowałem dalej, chociaż żyzy zalewały mi oczy i formalnie dusiłem się. Po chwili wiatr przewiał amoniak, może zresztą usunięta nieszczelność, a Sułkowski zaglądał do mnie jak mi idzie. Coś ty taki spłakany? zapytał. Kiedy mu powiedziałem, że nie chciałem "zejść ze stanowiska", roześmiał się życzliwie, poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że trzeba było na chwilę odjść, aż fala przejdzie. Sułkowski był moim pierwszym nauczycielem w ZA.

3. Obsada PFZA.

W chwili gdy zaczynałem karierę w przemyśle chemicznym, ówczesny zakład był bezporównania mniejszy od -dzisiejszego kombinatu. W każdym razie, z moich kontaktów służbowych i z ówczesnej relacji kole-

gów wynikało, że w latach 1944/45, obsada stanowisk kierowniczych była następująca:

Elektryczny.....Prof. inż. Jasilkowski,
Chlorownia...../+inż. Nowotny, inż. Krzyżanek, werkm. Kloc,
Gazowy.....inż. J. Wysocki, K. Kołodziej, werkm. Szafran-
niec, Metan - Suda, biuro: M. Mróz, Fr. Perz,
Wł. Rodak,
Amoniak...../inż. Marek, Kurcz, St. Rak, Miecz. Gastoł, biu-
ro: Ogarek,
Kwas Azotowy...../inż. W. Hennel, inż. J. Kuszewski, inż. Stefan
Wilk, werkm. Kolenda J., biuro: Boryczko K.,
Czupryna, Gwóźdź K.,
Sole.....inż. Stefan Dębski, inż. Zwirski, inż. Sławiń-
ski, werkm. Schab St., werkm. precypitatu St.
Ziemliński,
Warsztat Mechaniczny.....inż. Kubiński, inż. Fr. Biel, werkm. Wszółek,
Suski, Jaworek, biuro: Mazur,
BHP.....kpt. Radwański, St. Łaska, Goliński, Tokarski,
Personalny.....Pieńkowski, Knapik, Hebda, Trybułowski,
Pomiarowy.....inż. Heller, werkm. Nowak,
Laboratorium Analityczne. inż. A. Zieliński,
Laboratorium Kontroli Ruchu, inż. Paweł Turko,
Laboratorium Badawcze....dr inż. Hawliczek, dr W. Mazgaj, inż. Dębska
inż. Sarnowski, biuro: Słupianek,
Służba zdrowia...../dr Maśliwy, dr Nowicki, sanitariusze Mat-
koś, Sadowski, Wolak, Lechowicz,
Portiernia przy bramie nr1, Kalisz, Duda, Gutwiński,
Magazyn Główny...../+Styczyński,
Zaopatrzenie...../+Rojowa,
Zbyt.....Stec, Mikulski T., Urban,
Dyr. Administracyjny.....dr Balzar,
Gł. Księgowy i prokurent f-my, mgr Hampel,
Dyrektor Techniczny.....inż. Lau, inż. Wojnarski,
Dyrektor Naczelny.....inż. Trzebicki, inż. Szymański,
TS "MOŚCICE".....m.in. Cholewa, Kozar, Ogarek, Taczyn,
obecnie ZKS "UNIA".

Zresztą nowy i młody pracownik, nie od razu styka się z dyrektorem i innymi pracownikami zarządu, tylko z współkolegami z warsztatu wzglę-
dnie ze stanowiska pracy, i tu muszę zaznaczyć, że wszyscy ci robot-

nicy, aparatowi i mistrzowie - otoczyli mnie troskliwą opieką, przekazywali swoje doświadczenia i wiadomości, oraz uczyli mnie życia w kolektywie - byli to m.in. mistrzowie tacy jak Knerowicz, Ratajczak, Żurek, A. Zięba, A. Babiarz, T. Gieron, aparatowi i ślusarze jak Jelonek J., Socha A., Ratuszyński A., Boryczko Józef I i II, Kisała, ojciec i syn Czesław, Witek, Stec, Bronicki, Milówka, Cywiński, Białkowski, Bujak, Łęcznarowicz, Dobczyński Stefan i Stanisław, Zębaty, Czupryna, Setkowicz, Grzechowiak, ojciec i syn, Bielawski, Gębarowski, Piszczek, Jarmuła, Radlińska, Gwóźdź, Boryczko K., Sułkowski, Mikulski J., Płaszewski, Świder, Statler, Dzik, Iwan, i inni. Byli to ludzie godni i zacni, wielkoduszni i prawi, ale nie wolni od drobnych śmiesznośtek, które zresztą wcale nie umniejszały ich znaczenia i roli, a raczej przyczyniały im popularności wśród załogi. Dzisiaj, po przeszło 30 latach od opisywanych zdarzeń, duża część tych ludzi już odeszła z grona żyjących, część jeszcze żyje w podeszłym wieku. Ponieważ nie mogę się z wszystkimi porozumieć odnośnie zezwolenia na umieszczenie ich nazwisk w kontekście z opisywanymi epizodami i cytowanymi powiedzonkami, powiązania ich z konkretnymi osobami, będę podawał te okoliczności bezosobowo.

- jeden z pracowników był zwany "memelukiem", ponieważ chętnie śpiewał piosenkę o pięknej córce króla, której cnoty m.in. pilnował "pułk Mameluków z Afryki skwarnej", w jego transkrypcji brzmiało to "Memeluków" i tak został już memelukiem.
- "He - ta", tak był zwany jeden z techników, który czasem się zaciął i pomagał sobie do wybrnięcia z zawiłej kwestii taka właśnie "partykuła",
- pewien werkm. był nazwany "kojac" /tak mówił, zamiast kojec- mówił też "skręciemy", rozkręciemy", dmuchawa "poślednia", zam. pośrednia, "protestutka" zamiast, no powiedzmy kobieta lekkich obyczajów,
- w pewnym laboratorium pracował "Lajduś" czyli "Pachac", nazwy te miały swe źródło etymologiczne w piciu /"lajdaniu" /napojów, zawierających alkohol spożywczy; nazwa "pachac" nawiązywała do okrzyku "pach dziada", wznoszonego okolicznościowo przed spełnieniem kielicha /tu "dziada" /, "Lajduś" miał też przysłowie: "Jo już ta tyż :..." i tu następował niecenzuralny czasownik odczynnościowy /,
- pod koniec okupacji pewien spawacz wyspecjalizował się w spawaniu statków kuchennych i stąd był dosłownie "obłożony" różnokolorowymi garnkami,

- inny ślusarz, w tym samym okresie, wyspecjalizował się w wyrobie domowym kwasoodpornych chochli i miedzianych palników do metanolu,
- w pewnym biurze pracował st. referent, który miał przysłowie: "Było do przewidzenia", a na telefoniczne zapytanie o kogoś z obsady, niezmiennie i bezbłędnie odpowiadał: "w terenie" lub "poszedł w teren"
- pewien palacz kotłowy był nazywany Gładysławem z Pichacowa, czyli w skróceniu "Pichacem", etymologia tego nazwania nie była ustalona, natomiast cytowano jego nazwy techniczne, które brzmiały: "wentel"/wentyl/, "gławica"/dławica/, "wagan"/wagon/, "bakan"/bakon/, "placforma"/platforma/, "antylerijo"/artyleria/, "młode samoloty"/małe samoloty/,
- inny zwał się "cyfonem", tylko dlatego, że raz się pomylił i zamiast syfon powiedział "cyfon", koledzy "złapali" i wystarczyło, na długie lata,
- jeden z mistrzów miał przysłowie: "Cie pieron zwał, a nie godołem Ci",
- inny kolega, dumny ze swego syna, przy każdej okazji powoływał się na autorytet synowski słowami "Panie, syn mi mówił" - powiedzenie to tak przyłgnęło, że nikt o nim inaczej nie powiedział,
- inny znów kolega, rozpoczynał sekwens od słów: "Panie, wiesz Pan". Opowiadał też konkretną sytuację, kiedy to miał możliwość zaobserwować kąpiącą się kobietę - "jażem widział - rudą/zapewne fryzurę/miałam naturalnie i on nazywał się odtąd "panie wiesz pan" i td.,
- inny, nieco młodszy wiekiem kolega, zwany był "rosołkiem" z tego powodu, że w ten sposób wychwalał swoją młodą żonę, a raczej słał jej talenty kulinarne: "Moja żona gotuje smaczny rosołek, ja bardzo lubię rosołek",
- pewien, późniejszy aktywista związkowy miał powiedzenie: "Czego dowodem jest", od którego to zwrotu rozpoczynał prawie każde zdanie,
- pewnego starszego wiekiem już pałacza, zresztą bardzo lubianego i szanowanego nazywano frywolnie starym członkiem męskim. Tak ochrzczony - wcale się o to nie obrażał, gdyż wiedział, że nazwano go tak z sympatii a nie antypatii,
- pewien mistrz remontowy nazywał się potocznie "Rotacko", nazwa pochodziła od firmy "Rotasco", produkującej ongi sprężarki. Mówił też "tyk nima i tamtyk nima",

- pewien st. aparatowy nazywał się "Atrament," wywodziło się to stąd, że miał pod sobą, służbowo naturalnie, zespół złożony z samych kobiet; nie chcąc się przy nich zbyt mocno wyrażać, gdy zachodziła tego potrzeba, był tak człowiekiem delikatnym, że zamiast powie - dzieć "niech to krew zaleje" to mówił określenie zastępcze "niech atrament zaleje" i stąd został nazwany "atramentem";
- Pewien ślusarz precyzyjny nazywał się "Jaś Kwatera". Była w tej na - wie delikatna aluzja do licznych pojemności napojów wyskokowych, jakie pijał, bez wywoływania wyskoków. Dojeżdżał on codziennie po - ciągiem z kierunku Brzeska. Pociąg tej relacji był był wahadłem, pomiędzy Dębicą i Szczakową. Rzeczony Jaś, zmęczony po trudach pra - cy, w drodze powrotnej "przesypiał" Brzesko i budził się w Szczako - wej, wobec tego wracał z powrotem, tym samym składem i często bu - dził się w Dębicy. Mówił też brzyki wiersz cygański, który kazał powtarzać z pamięci kolegom! - "Putuwa suwawa, w try minc piawa, mindziora na progościensu. A ko? Duc Józek/i tu następowało nie - cenzuralne określenie łacińsko-polskie/. Był też interesującym gawędziarzem i imitatorem głosów kolegów i zwierzchników.
- jeden z mistrzów zmianowych, miał przysłowie: "Trzeba kogo zjeść", a mnie osobiście nazwał "banzyr". Stało się to tak, że od czasu do czasu jechało się wózkiem szynowym na "magazyny Soli po części za - pasowe, pompy i td. Wózek popychało się nogami, a miejscami, tam gdzie tor się obniżał, leciało się "grawitacyjnie". Przy wskakiwa - niu na wózek, założony różnymi rupieciami, rozdarłem spodnie, a po - nieważ siedziałem na przodzie wózka - mistrz na pamiątkę tego wy - darzenia nazwał mnie banzyr/od Bahnseher/i nawet, po latach, gdy mnie spotykał, to witał mnie tymi słowami, co zresztą przynosiło mi niebываły zaszczyt, że ja nie jestem gorszy, że i ja mam swoją nazwę. Obmawiany mistrz miał też przysłowie: "Kto guzik podnosi ten guzik ma!". Był to wogóle człowiek bardzo bystry, o błyskawicz - nej orientacji, doskonale znał wszelkie manowce i zawiłości obli - czeń technologiczno - ruchowych i zachuby zarobkowej, nigdy nie dał się nikomu zaskoczyć i zagnać w kozi róg. Raz tylko, udało się to jego własnemu synowi. Otóż idąc razem z ojcem na "szychtę" zało - żył się, że z intensywności gazów wylotowych, pozna obciążenie in - stalacji/naturalnie przedtem sprawdził to obciążenie telefonicz - nie. Kiedy przybyli na oddział okazało się, że junior prawidłowo odgadł obciążenie instalacji. Senior był tym wydarzeniem wyraźnie zaskoczony i opowiedział mi o całym zdarzeniu, mówiąc - popatrz pał

mój syn potrafił z wylotu podać obciążenie, w jego głosie jednak nie było żalu ale zabrzmiała nutka dumy...

- Pewnego razu, technik "He-ta" przechodził koło kotła-utylizatora i z przerażeniem zobaczył, że palacz i mistrz zmianowy, gonią tam i z powrotem, dookoła kotła, gorączkowo wykszykując: "tam!, Tam! "Co się dzieje! czy to jaka he-ta awaria? zapytał technik, A nie, nic się nie stało, tylko szczura gonimy, bo wlaź pod kocioł!
- niedaleko pewnego oddziału produkcyjnego, była zlokalizowana pomocnicza pompownia wody studziennej, zwana przez robotników "Rabka". Uzasadnieniem tej nazwy był fakt, że pompownia ta, była oddalona o dobre kilkadziesiąt metrów od budynków produkcyjnych, w niezabudowanym polu, w lecie rosły tu dookoła wysokie trawy, nie było żadnych wycieków i zrzutów do atmosfery, stąd posyłano tam przeważnie rekonwalescentów i ludzi słabszych na zdrowiu. "Rabka" była czynna tylko w porze letniej. To były jej zalety, ale były i wady. Mianowicie co 45 minut należało kontrolować zassanie, jeżeli się tego nie dokonało, to pompa "urywała" i nie podawała wody na instalacje, i trzeba było zpowrotem lewarować. Tak więc mimo pozorów - obsługa "Rabki" w gruncie rzeczy, była dosyć uciążliwa.
- Inna opowieść. Na pewnym oddziale pracował pewien obywatel, który przeważnie pracował na zastępstwach. Kiedy przyszedł do pracy, ktoś mu żartem powiedział, mieszaj wodę w kanale! Pytający, już bez dalszego pytania, poszukał odpowiedniej deski i mieszał nią wodę w kanale, który odprowadzał wodę z chłodnic ociekowych. Taką również czynność zapisał w raporcie, Innym razem został skierowany do pracy na stokażu. Było tam proste urządzenie wskaźnikowe, które włączało sygnalizację świetlną i dźwiękową z chwilą, kiedy poziom w zbiorniku dotykał drucika platynowego. Ponieważ wskaźnik coś nie działał, obsługujący zaczął go poprawiać, przyczym ów nieszczęsny drucik gdzieś się zagubił. W tym stanie rzeczy przeszedł na ręczną regulację. Zapytany przy oddawaniu zmiany o przyczynę niedziałania wskaźnika odparł krótko: "kwas zezarł".
- w laboratoriach ruchowych, a zwłaszcza zimą, było ciepło i przytulnie. Ten i ów przyszedł z próbką do analizy, siadł na chwilę i często wpadał w objęcia Morfeusza. Na to tylko czekali laboranci - ogrzewali wodę do temperatury +37°, a następnie nalewa-

II

li na stołek zlewkę takiej wody. Delikwent, na razie, nic nie czuł ponieważ woda posiadała temperaturę powierzchni ciała. Dopiero po chwili, gdy się nieco ochłodziła, delikwent budził się pod wpływem nieprzyjemnego uczucia "mokrego" chłodu i spotykał się zaraz z życzliwą uwagą, nie dosyć, że śpisz, to jeszcze i td.

Osobną wzmiankę należałoby poświęcić telefonom. Telefon, jak wiadomo, jest to instytucja, która nie tylko przyspiesza przebieg spraw /n.p. takie hasło: telefon międzymiastowy skraca odległość/ ale też często płata różne figle, nad którymi czuwa specjalny chochlik, i można było m.in. usłyszeć, "na trzeciego" - taką rozmowę:

- Halo, kto mówi - Rada!
- Jaka rada? - Narodowa
- A tam kto mówi? Saletra!
- Jaka saletra? - Wapniowa!

Były też i inne np: przygotujcie wykaz dyżurów świątecznych

- w ilu egzemplarzach, w tej chwili włączyl się ktoś "trzeci" - przygotujcie w 100 !

- Do stałego programu należało podsłuchiwanie rozmów osób zakonanych, którym doradzano, "na trzeciego" różne zdrożności, jakie mogą być udziałem osób płci przeciwnej.

Jeżeli jednak jesteśmy przy "urzędowaniu", to wiadomo, że zakład /w opisywanym okresie "zakład" odnosił się do całej fabryki, nie było bowiem poszczególnych zakładów, jak później tylko wydziały i oddziały/ potrzebuje znaczne ilości rozmaitych druków. W latach powojennych opowiadano ucieśzną historyjkę, że na skutek pomyłki w ilości zer - zamówiono pewien formularz w ilości, która wystarczyłaby na pokrycie zapotrzebowania na ten artykuł w przeciągu tysiąca lat, ale od czego jest upłynnienie - zdołano więc wypchnąć do bratnich zakładów ile się dało, ale i tak, podobno, pozostało tego wzoru na 100 lat. Kroniki milczą o tym, czy jest to prawda, czy tylko swawolna dykteryjka.

Oddzielne zagadnienie to słownictwo - jest ono naogół kwieciste, a zwłaszcza tam, gdzie zachodzą różnice zdań na tematy służbowe. Raz, pewien nieopanowany zwierzchnik, w trakcie rozmowy, zresztą telefonicznej, popularnie mówiąc kazał się ucałować, gdzie należy, swemu podwładnemu i na tym stwierdzeniu zakończył rozmowę. Jakież było jego zdziwienie, gdy za kilka minut, do "kancelarii" przyszedł ów rozmówca, ze słowami - no to szefie, ściągajcie spodnie, poco? zapytał szef zdziwiony - ano przyszedłem Was pocałować, zgodnie z

otrzymanym poleceniem służbowym! Po tej rozmowie, ów szef, już nigdy, w stosunkach służbowych, nie używał tego zwrotu grzecznościowego, zwanego w dowojennej Polsce - "propozycja marszałkowska". Teraz znów kilka opowieści, tym razem związanych z konkretnymi osobami, ze względu na fakt, że nie przynoszą im żadnej ujmy, a są warte zanotowania i uchronienia przed zapomnieniem.

Dyrektor St. Anioł był rzeczowym i zrównoważonym człowiekiem, ale nie lubił osób pijanych, żeby nie powiedzieć pijaków. Otóż raz, tak się złożyło, że jeden z trzech praktykantów z Politechniki Łódzkiej - kupił aparat radiowy "Tesla", zakup "Tesli" wtedy był tej miary osiągnięciem co teraz n.p. zakup "Jowisza", nic więc dziwnego, że szczęśliwy posiadacz czuł się w miłym obowiązku "oblaść" sprawę. Nic by się nie stało, tylko, że praktykanci mieszkali w skrzydle bocznym, koło starej stołówki/nad fryzjerem - chyba trudno o dokładniejszą lokalizację, gdzie w sali konferencyjnej, na drugi dzień miało odbyć się spotkanie załogi z Ministrem Bolesławem Rumińskim. Budynek ubrano odświętnie festonami z jedliny i flagami, a po południu, w przeddzień przyjazdu Ministra - dyrektor Anioł osobiście przyszedł sprawdzić stan przygotowań, w asyście dwu pracowników Straży Przemysłowej, uzbrojonych w karabiny na pasach, zwane potocznie "luśniami". Słyszając nieco za głośne śpiewy wszedł do bocznego budynku. Pech chciał, że jednocześnie odbywały się dwie uroczystości, studencka, na wysokich obrotach, i pracownicza - bardzo dyskretna. Dyrektor Anioł, przez pomyłkę, otworzył do dyskretnego towarzystwa - a w tym czasie, pewien wysoki ⁺stanowiskie aczkolwiek mały wzrostem urzędnik, zdołał uskoczyć i schować się za drzwi. Dyrektor Anioł, który był człowiekiem dokładnym, zajrzał za drzwi i rzekł zdziwiony: "Atoli i Wy tu Dyrektorze?"

Któregoś roku odbywało się zwykłe, robocze zebranie załogi zakładu na magazynach saletry wapniowej. Ponieważ termin zebrania przypadł w okresie imienin Dyrektora Anioła, poszczególne oddziały rywalizowały ze sobą i prześcigiwały się wzajemnie, można powiedzieć współzawodniczyły ze sobą, o uświetnienie tej uroczystości, w jaką samoczynnie przekształciła się wspomniana narada robocza. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ Dyrektor Anioł był człowiekiem powszechnie lubianym, szanowanym i cenionym. Wszystkie jednak Wydziały zgasił i "przykrył" Wydział Gazowy, w imieniu, którego wystąpił poeta, który począł deklamować wiersz okolicznościowy, napisany właśnie na cześć Solenizanta. Poeta wszedł na mównicę i tak zaczął:

"Niedaleko od Tarnowa
Jest fabryka azotowa
Dyrektor Anioł fabrykę buduje
Za co Go załoga szanuje"

Początek wiersza był dobry i sugestywny, aczkolwiek jego rytm i rytm pozostawiał dużo do życzenia, jako zbieżny z rymem często chowsko - tuchowskim. Ale nie to było najgorsze - poeta zapomniał dalszych strof i "zacukał się". Aby ratować sytuację, autor, recytator i aktor w jednej osobie rozpoczął recytację odnowa, ale znowu "zaciął" się w tym samym miejscu. Między najbliższym siedzącym członkiem prezydium zebrania, a poetą wywiązała się następująca dyskusja - "złaź"! "Nie zleżę" - odpowiedział dumnie poeta i zaczął kwestię po raz trzeci, zwycięsko przebrnął przez feralne miejsce utworu i doprowadził wiersz do końca. W podsumowaniu Dyr. Anioł ~~użył~~ użył wtedy spracyzowania: "poeta mnie obmówił" - naturalnie było to powiedziane zupełnie dobrotliwie.

Innym razem na Saletrze wapniowej odbywało się zebranie informacyjne w sprawie PZU. W antrakcie przygrywała orkiestra zakładowa, delegat PZU dwoił się i troił, aby przekonać załogę o konieczności i społecznym uzasadnieniu ubezpieczenia pośmiertnego. Według dowcipnisiów zakładowych - zebranie jednak zostało źle zorganizowane; Najpierw orkiestra dęta zakładów, powinna była "wyciągnąć" skoczny kawałek, obrazujący piękno życia pracowniczego, następnie melodia powinna nieznacznie przejść w tony bemolowe i wreszcie zagrać marsza żałobnego Chopina i dopiero na tym tle, grobowym głosem, winien przemówić przedstawiciel PZU. Po jego przemówieniu, orkiestra winna przyspieszyć rytm i zagrać wesołego "sztajera", symbolizującego radość z dokonanego ubezpieczenia pośmiertnego. W każdym razie, delegat PZU nie dał za wygraną i już osobiście prowadził akcję agitacyjno - werbunkową potencjalnych nieboszczyków, kandydatów na ubezpieczenie pośmiertne. Dobił go ostatecznie pracownik Laboratorium Badawczego, inż. J.K., który zapytał, czy w umowie jest taki casus, że nieboszczyk ma sam przyjść po pieniądze. Był to naturalnie tylko żart, w dobrym stylu, a nie próba sterpedowania pożytecznej akcji ubezpieczeniowej.

W mniejszym gronie, odbywała się narada robocza w Lab. Bad. Po wyczerpaniu programu, w wolnych wnioskach, jeden z dyskutantów poruszył zagadnienia stosunków międzyludzkich, a mianowicie, że jego koleżanka z pracy wygraża mu się "że mu pokaże" - dyskutant

zaś stwierdził rzeczowo, że "to co ona mi chce pokazać to ja już dawno widziałem" - no i było wesoło, mimo, że omawiany temat był raczej niewesoły.

- Wczasy - to zagadnienie jest "wiecznie młode" jak powiedziałyby jeden z redaktorów TA. Bardzo dawno temu na Amoniaku pracował Elek K. zwany potocznie Felusiem. Pewnego dnia odbywało się zebranie na "salitrze" wapniowej z okazji przybycia do zakładu V-Min. Przem. Chem. Karola Akermana. W czasie tejże narady, zabrał głos Feluś i zaznaczył, że jest ojcem licznej rodziny, że jest zasłużony dla zakładu, że mało zarabia i, że jeszcze nigdy nie był na wczasach. Wzruszony tą wypowiedzią V-Ministerr, pogadał z kim należy i Elek, w "krotkich abcugach" wyjechał na wczasy, czy nawet do sanatorium, skąd niebawem powrócił, jeszcze przed zakończeniem turnusu. Tak więc przyznanie wczasów jeszcze o niczym nie świadczy, gdyż ich przebieg może nie spełniać wysokich aspiracji pracownika, jak było w omawianym przypadku.
- Drugim newralgicznym punktem, często poruszonym na zebraniach był / i jest nadal / dojazd. Nie wiem ile autobusów posiadają dziś ZA, ale w latach pięćdziesiątych, kursował tylko jeden autobus zakładowy i to przerobiony z ciężarówki. Mieścił on 22 osoby i zwał się żartobliwie "cyrk", może dlatego, że wejście po stromych schodkach do "paki" autobusu - wymagało wręcz cyrkowej zręczności. Cyrk odbywał przed pracą i po pracy dwie tury na trasie Świerczków - Tarnów, kolejnym etapem była rekonstrukcja autobusu "Mercedes", oraz zorganizowanie trzeciego autobusu, tak, że właściwy rozwój parku autobusowego ZA zaczął się, nie licząc cyrku, od 3 jednostek. Kierowca Strojek, dobry fachowiec i bardzo elegancki "facet" jechał przed 23 po robotników na III zmianę. Przed Czerwoną musiał zatrzymać autobus, ponieważ w poprzek drogi stał wóz konny, tylnymi kołami stojący w rowie przydrożnym. Strojek wysiadł z szoferki i wtedy zobaczył, że z przykopy gramoli się, na czworakach, woźnica. Nastąpiła taka wymiana zdań: Co się stało? Czemu zastawiłeś drogę?, zapytał Strojek - Panie, odpowiedział woźnica, koń mi się spłoszył, wirzby się przelakł! Strojek rozejrzał się dookoła, ale nigdzie tej "rzeczowej" "wirzby" nie było...
- ubrania robocze, to cenna i poszukiwana rzecz, tym bardziej w okresie zaraz po uruchomieniu zakładu. Kilku pracowników wydziału "n" "wyfasowało" nowe sorty robocze i po "fajrancie" udali się do knajpy Pikula, mieszczącej się nieopodal zakładu, i tam, częściowo, bo

bo nie wszyscy, upłynnili „wdzionka”.^U wiecził to poeta w długim wierszu okolicznościowym, podającym genezę i zakończenie sprawy, którego finał cytuję:

„Pan podpisał, pieronem „wdzionka” otrzymali
Po fajrancie u Pikula długo przymierzali
A gdy nazajutrz powstał nowy dzionek złoty
W starych/podartych/szmatkach poszli do roboty”

Knajpa Pikula to była wogóle cała sprawa. Po pracy, pracownicy różnych oddziałów, często wpadali, „na chwilę” do Pikula, weszło nawet w tradycję, że oddzielnie siadywali n.p. kwasiarze, sole, amoniak, pozdrawiano się też wzajemnie wywołując przynależność, n.p. „czołem amoniak!”. Knajpa Pikula była jeszcze znamienna tym, że posiadała, na etacie, dwa duże psy myśliwskie, które, co znakomitszych konsumentów odprowadzały do domu.

Pewną ciekawostkę stanowić może fakt, że zaraz po wojnie, w okresie odbudowy zakładu, czynny był kiosk spożywczy, koło kwasu azotowego, prowadzony przez wdowę po zmarłym lekarzu dr ^{Myśliwym}. Kiosk ten był znamienny tym, że dla wygody klientów posiadał zainstalowany telefon, dysponował wspaniałymi kanapkami i dla celów leczniczych, nawet i kielichem. Pewien pracownik tak często tam zaglądał, że gdy go szukano, to najpierw drzwoniono do kiosku.

Po zakończeniu montażu odbywała się, po oddziałach, tradycyjna wiec ^h. Na pewnym oddziale, pracownicy społem obsiedli duży okrągły stół, który normalnie służył do zabiegów z katalizatorem. Kielichy krążyły z dużym umiarem, ale i tak, kierwonik tego oddziału inż. J. K. zwrócił się do najbliższego pracownika, ze słowami: „Panie Kolego - co to będzie ja już trzy wypikem! / było to duże wyrzeczenie się gdyż inż. J. K. wódki nigdy nie pijał i zrobił odstępstwo jedynie dla należytego uczczenia wiechowego ~~x~~”.

Pierwszym BHPowcem po wojnie był kpt. Radwański, który chodził po zakładzie jeszcze w mundurze wojskowym, przyczym między innymi, kontrolował apteczki po oddziałach. Na kwasie zakwestionowano mu, że w lekospisie apteczki nie było alkoholu, który w pracy Brunona Wae-sera, „Luftstickstoffindustrie”, znajdującej się w bibliocece „ab.” ad figuruje jako skuteczna odtrutka na tlenki azotu. Na marginesie tego wspomnę o pracowniku, który na cysternie, „pociągnął” chloru i zesunął się na ziemię. Ratujący go koledze wiali mu do ust /?/ szklan-kę wódki - uszkodzony podobno natychmiast oprzytomniał i zarządził powtórzenia kuracji.

Motoryzacja - w onych odległych czasach, motocykl był szczytem marzeń podobnie jak dziś n.p. "Polonez". Którego tam roku Rada Zakładowa ogłosiła, że można składać podania na przydział "Jawy - 350". Podanie należało odpowiednio umotywować i poszczególni reflektanci prześcigali się w podawaniu wiarogodnych argumentów przemawiających na ich korzyść. Dyrekcja i RZ otrzymała na kilkaset podań 1 / słownie: jedną Jawę i dostał ją, inż. W.P., który widocznie najlepiej umotywował swój wniosek. Za jakiś czas, podobna historia "wybuchła" z samochodem "Wartburg", znowu były podania i uzasadniania i znowu, widocznie dla tradycji, albo umiał najlepiej pisywać podania - onego "Wartburga", dostał znowu rzeczony inż. W.P. Potem przyszła era SHL-ek. Jeden z pierwszych, otrzymał taki wehikuł, z-ca Posła na Sejm, tow. St. R. Spotkałem go na ulicy, jak paradował na nowej SHL-ce i zagadnąłem go tymi słowy: "Nie widzę Was niżej jak na Jawie" - SHL-kę też się wszędzie dojedzie - odpowiedział zapytany, tym bardziej, że ja muszę dużo jeździć po terenie. Następną SHL-kę otrzymał młody mechanik jednego z oddziałów kol. J.K. Ten znowu tak był przejęty, że początkowo, po każdej jeździe czyścił motor ... chustką od nosa. Hej! Łza się w oku kręci - to były romantyczne czasy. Inż. W.P. naturalnie SHL-ki już nie dostał, może nie startował a może gorzej umotywował podanie.

Jeszcze kilka słów o życiu towarzyskim, mianowicie o smutnym finale wesołej zabawy. Już po uruchomieniu fabryki, miała miejsce, któregoś roku, zabawa sylwestrowa. Wszystko byłoby się dobrze skończyło, gdyby nie przemówienie, jakie nastąpiło pomiędzy autochtonami a pracownikami firm z poza terenu Tarnowa. Po wstępnej wymianie słownej, przeciwne strony wysłały harcowników, celem wybadania sił przeciwników, w tej fazie panami placu boju zostali autochtoni, firmowcy mimo odniesionej porażki, nie dali się rozprószyć i zwartym szykiem wycofali się z sali po posiłki. Po przybyciu tychże, sytuacja zmieniła się diametralnie, konfrontacja zaczęła przebiegać na niekorzyść autochtonów. Sytuacja stała się wręcz krytyczna, po mechanicznym wyłączeniu oświetlenia i obaleniu bufetu, celem położenia kresu konsumpcji alkoholu, podsycającej walkę wręcz, która częściowo przeniosła się na zewnątrz budynku, o czym świadczy fakt, że po zabawie jeszcze w promieniu 200 mb znajdowano krzesła i inne rekwizyty stanowiące, przed zabawą, wyposażenie sali. Sprawa zakończyła się przybyciem MO, która zaprowadziła porządek, rozwiązała zabawę i odešla na pogotowie kilku bardziej poszkodowanych.

Po innej, w mniejszym formacie przebiegającej zabawie sylwestrowej, pewien pracownik wracał pieszo do domu, prowadząc rower, z którego nie mógł korzystać ze względu na gołoledź i własne zachwianie równowagi. W pewnym momencie stoczył się wraz z rowerem do rowu przydrożnego, z tym, że rower upadł na niego. Była to sytuacja zbliżona do sytuacji, w jakiej Zagłoba zdobył chorągiew, gdyż ów pracownik, szamocąc się po ciemku z własnym rowerem, przypuszczał, że ma do czynienia z którymś z kolegów i zwrócił się do niego ze słowami: "Puść sk. synu!" a ten moment nadeszli koledzy i wyciągnęli niefortunnego sylwestrowicza z przymusowej oprasji i...rowu.

Dyplomaci/?/ - pewnego razu, kilku młodych ludzi, pewnym krokiem, nie zatrzymując się ani na chwilę ani nie pokazując przepustek udało się na fabrykę. a intrygowany zwróciłem się do pełniącego właśnie -służbę portiera bramy nr 1, kol. K, ze słowami - kto to jest panie K? że tak łatwo wpruli do zakładu? Panie! To są dyplomaci! Potencjalni czytelnicy łatwo zorientują się, że chodziło tu o zwykłych dyplomantów!/.

Admiracja kobiet - kobiety są przeważnie przedmiotem admiracji ze strony płci biegunowo przeciwnej, tak jest wszędzie a więc i w naszych zakładach. Ale wyróżniającym się admiratorem niewiast był pewien inżynier mechanik, znamienny tym, że oglądał się za każdą napotkaną kobietą, i chętnie dzielił się swoimi uwagami nad ich urodą. Pewnego razu szedł z młodszym kolegą, koło przystanku autobusowego nazwaną wewnątrz zakładu, a po drugiej stronie, w przeciwnym kierunku szła, sprężystym krokiem, młoda, ładna, zgrabna kobieta. Koneser rodu niewieściego odwrócił się i powiedział z przekonaniem i najwyższym uznaniem: Panie Kulego! Patrz pan jaka fajna dopa! Ta, tak, potwierdził skwapliwie jego młodszy współtowarzysz - to właśnie jest moja żona...

Inwentaryzacja - to czynność, która wymaga od zespołów spisowych dużej znajomości przedmiotu, w pewnym laboratorium przeprowadzono spis z natury. Na arkuszach spisowych znalazły się następujące pozycje: - odczynnik do mięsa, - ziemia odśrodkowa, - urakalbaum. Jak się okazało, zespół spisowy w ten sposób uprościł nazwy takich pozycji jak - odczynnik Damienisa, - ziemia okrzemkowa, - Urea Kalbaum/mocznik f-my cudzoziemskiej Kalbaum/.

Neologizmy - postęp życia niesie za sobą słowotwórstwo, lub słowotwórczość, jak kto woli. Wydawanie towaru z Konsumu, nazwał kpt. Oehab powojenny pracownik tej instytucji "wydawką".

Jeszcze kilka słów o niektórych, sławnych pracownikach fabryki. W dobie odbudowy zasłynęła swymi osiągnięciami montażowymi grupa ślusarzy - montażystów, znana - od nazwiska jej kierownika - "Partia Schaba", Mistrz Schab Stanisław był doskonałym znawcą tematu i mimo, że nie dysponował żadnym pomocniczym sprzętem ciężkim, potrafił bezbłędnie windować i ustawiać wielkie i ciężkie elementy, i to w dodatku przy zupełnym braku jakichkolwiek wypadków przy pracy. W tej grupie pracowali i na wdzięczność potomnych zasłużyli także ślusarze jak Knych Antoni, Stankiewicz Roman, Zalewski Jan, Moskal, Kurcz i inni, których nazwisk już nie pamiętam. W trakcie montażu doszedł do nich jeszcze jeden świetny fachowiec mistrz Aleksander Boryczko, zwany popularnie "Glek".

Prof. inż. Jasilkowski był konstruktorem i wykonawcą t.zw.ogniw wzorcowych, które jakością wykonania przewyższały znane słynne angielskie wzorcowe ogniwa Westona. Było to podziwu godne z jakim zapamiętem wykonywał te ogniwa, których budowa wymaga tyle precyzji i finiszu w obróbce i montażu, a podkreślić przytym należy, że prof. Jasilkowski, był człowiekiem o potężnej budowie ciała, wzroście i wadze, które to okoliczności na pewno nie stanowiły ułatwienia przy wykonywaniu tak precyzyjnych robót.

- Inż. Kubiński przyjeżdżał do pracy archaicznym motocyklem, pamiętającym czasy I wojny światowej. Sam go konserwował, czyścił i nawet dorabiał brakujące detale, dzięki czemu ów muzealny pojazd zachowywał schludny wygląd i niemal znamionową sprawność.

- inż. J. Kuszewski postanowił opracować wniosek racjonalizatorski, odnośnie odzysku katalizatora, przyczym zagadnienie to jak i zagadnienie zmniejszenia emisji wylotów jest co najmniej tak stare jak zakłady azotowe w świecie. Kuszewski przemyślał kolejną alternatywę łapacza katalizatora i uznał, że lepiej będzie jeżeli wniosek zgłosi zespołowo. W tym celu poszukał sobie pewnego inżyniera, który jednak - "był Bogu ducha winny" i nie wyznawał się na tej nowość. Wobec tego zwrócił się telefonicznie /oj te telefony! / do swego potencjalnego współnika tymi oto słowy: "Ponieważ wykonałeś usprawnienie, trzeba żebyś przynajmniej zobaczył gdzie to jest! No i na czym ono polega". I to już chyba wszystko, co w telegraficznym skrócie zostało zawart w Serii II Opowieści z ZA, może jeszcze kilka wypowiedzi kadry kierowniczej dotyczących okresu moich pierwszych kroków w ZA:

- inż. Witold Hennel / pierwszy mój szef / - ... zgodnie z moimi sugestiami jego uwaga była zwrócona m.in. na zagadnienia organizacyjne, przyczyn wykazał dużą umiejętność współżycia z robotnikami,
- dr inż. Hawliczek / szef Lab. Bad / - życzę mu powodzenia w studiach i pracy zawodowej!
- / wreszcie wyjątek z listu dr inż. Hawliczka do pierwszego, po wojnie, Dyrektora ZA, inż. Trzebickiego - oddawca tego listu wprowadzie jest tylko chemikiem ale i tacy mogą się przydać, do ściśle określonych - zadań !
I tym akcentem uzalenia się nad losem niekochanego, brzydkiego kaczątka - chemika kończę moje opowieści.

Posłowie - zamiast zakończenia.

Tyle opowieści serii II o ZA. Starąłem się w nich utrwalić sprawy może małe, ale właśnie z takich małych spraw składa się życie. Gdyby więcej Kolegów mogło lub chciało takie wspomnienia napisać - powstałby żywy obraz, tej drugiej strony medalu, figlarnego rewersu, pogrążonego zwykle w cieniu reprezentacyjnego awersu.

Większość bohaterów tych opowiadań przeszła już do historii, z reguły nie podaję nazwisk, aby zbyt żartobliwa forma nie zatarła piętna powagi jaka otacza Ich pamięć. I tak będzie najlepiej...